ROZMAITOŚCI.

Dnia 6. Lutego. № 6. Roku 1856.

RIK — TIK — TAK.

(Powieść z życia flamandzkiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 1. 2. 3. 4. 5. Rozmaitości.)

VII.

Gdy Monika opuszczała step odjeżdżając do Francyi, napełniała głęboka radość jéj serce; marzenia jéj ziściły się: znalazła tego, którego przez tyle lat wyglądała tęsknem okiem z wysokości piaszczystego wzgórza. Cała zajęta miłością dla ojca i obsypywana bez ustanku czułemi jego pieszczoty, zapominała powoli o tém, że w samotnym futorze boleje ktoś po jéj odjeździe, i wnet wspomnienie o dawném jéj życiu i o tym, który w jéj nieszczęściu był dla niéj obrońcą i przyjacielem, wspomnienie to mówimy, zdawało się być zupełnie zatarte w jéj duszy.

Za przybyciem do Paryża postarał się kapitan o najlepszych metrów dla niéj, a że niezbywało jéj na pojętności i dowcipie, a nadto zachęcał ją ojciec ciągłemi pochwałami, nauczyła się w przeciągu cztérech lat tego wszystkiego, co potrzebuje umiéć dobrze wychowana dziewica, by jaśniéć śród świata, jeźli tylko natura obdarzyła ją pięknością.

Wnet też miły rumieniec pojawił się na licach Moniki, i ciało jéj nabierało coraz więcéj siły i pełności. Szczęśliwość niezakłócona niczém powróciła jéj zdrowie; zdawało się, że słabość nudów, która ją niszczyła, opuściła zupełnie swoją ofiarę. Ale człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, a do szczęścia prędzéj może niż do czego innego. Tak samo działo się z Moniką; przez rok cały znajdowała przyjemność we wszystkiém; uczęszczała na wieczory i bale, kochała świat i ludzi i pragnęła ich oklasków....

Wszelako ta rozkosz bez troski i wolna od wszelkich przeszkód nietrwała długo; chwilami przesunęło się jakieś przelotne wspomnienie przed oczyma Moniki, a w ciągu drugiego roku zdawały się owładać ją nanowo jakieś niepojęte marzenia. Śród dźwięku zachwycającéj muzyki, przy blasku tysiąca świateł, śród wrzawy festynów, była zawsze roztargniona, jak gdyby ją prześladowało jakieś tajemne wspomnienie. Było-to w istocie wspomnienie przeszłości, wspomnienie

zupełnie dziecinne, które przyśpieszało bicie jéj serca, i Monika wyznawała sama ojcu, że chwilami widzi przed sobą step rodzinny, ów wielki dąb w pośrodku i otaczające go krzewy jałowcu. Opowiadała to ze śmiechem, żartując z swych dziecinnych marzeń, jak je nazywała.

Czy widywała Monika w tych przelotnych zjawiskach stepu także postać ludzką, cień młodego wieśniaka, który opłakiwał jéj oddalenie? Któż-to wie? Przynajmniéj nieprzyznawała się do tego nigdy ani sama przed sobą ani przed drugimi.

Powoli jednak zaczynała Monika nabiérać wstrętu do świata i jego uciech; nieuczęszczała już na wieczory i bale tylko na usilne nalegania ojca, i zaczynała szukać samotności. Od czasu do czasu poruszały się machinalnie jéj usta, i zapomniana piosnka *Rik — tik — tak* wykradała się śród żałośnych westchnień z jéj serca. Lica jéj pobladły znowu, i w krótkim czasie zwątlały tak dalece jéj siły, że biedny ojciec probując napróżno wszelkich środków, by zażegnać jéj fizyczną i moralną zgubę, obawiał się przeżyć swoje dziécię. Doświadczony lekarz, którego rady zasięgnął, wskazał małżeństwo jako najlepszy środek, i zapewniał, że Monika wyzdrowiałaby niezawodnie, gdyby zdołano ją nakłonić do wybrania sobie męża. Śród takich stosunków niemógł kapitan van Milgem pomyśléć o nikim innym, jak tylko o młodym poruczniku Adolfie, wiernym swym towarzyszu, który był świadkiem odzyskania jego dziécięcia.

Kapitan więc dokładał wszelkich starań, by zwrócić uwagę swéj córki na Adolfa, ale wszystko było daremne; wprawdzie niebyła ona nieczułą na oznaki przywiązania i piękne przymioty jego ulubieńca; ale o miłości ani pomyślała; jéj serce było zimne jak lód w obec młodego oficera. To dręczyło wielce biednego ojca, który tracił ostatnią nadzieję ocalenia swego dziecka. Prawie codziennie próbował kapitan wybadać z niéj, czego właściwie pragnęło jéj serce i co było źródłem jéj nieszczęścia; ale Monika zapewniała go, że niejest wcale chora, i potrafiła zawsze odwrócić jego pytania otaczając go pieszczotami najczulszéj miłości. Tyle tylko mógł dorozumiéć się kapitan, że pragnęła powrócić do Brabantu i do stepu, słowem że usychała z tęsknoty za rodzinnym krajem.

Kilkakrotnie przyrzekał więc swéj córce, że pojedzie z nią do rodzinnego kraju i zabawi tam przez dłuższy czas, by mogła opamiętać się oddéchając powietrzem stepu; ale zawsze udaremniały zamiary jego wypadki wojenne, które niespodziewanie następywały jedne po drugich. Wreszcie z końcem roku 1812, dzięki usilnym i nieustannym prośbom, uzyskał od ministra wojny przyrzeczenie, że z przyszłą wiosną otrzyma trzymiesięczny urlop. Monika uradowana pewną nadzieją powrotu do swéj kochanéj ojczyzny, zdawała się już ocucać z swéj słabości, gdy niespodzianie nadeszły straszliwe wiadomości z północy: armia francuska została prawie całkiem zniszczona orężem rosyjskim i okropną zimą; nikt

niemógł przewidziéć, co się stanie po téj strasznéj klęsce Napoleona. Powszechna niespokojność opanowała wszystkie wojska pozostałe we Francyi. Kapitan niemógł ukryć przed córką tych strasznych nowin, które wszędzie rozgłaszano, ani oszczędzić jéj zmartwienia, że zamierzona podróż do ojczyzny zostanie zapewne znowu na długo odwleczona.

Nagle powrócił Cesarz z Rosyi bez swojéj armii, i kazał senatowi wydać dekret zwołujący pod broń 350,000 ludzi. Kapitan otrzymał także rozkaz połączyć się z armią w Niemczech na czele swego pułku. Umieścił więc córkę w pewnym zakładzie wychowania w Paryżu, pożegnał ją ze łzami w oczach i wyrwał się z ściśnioném sercem z objęć swego chorego dziecięcia, by iść z Cesarzem za Ren.

W sześć miesięcy poźniéj, w bitwie pod Drezdnem, raniła go kula w kolano. Po wyleczeniu rany pozostała noga skrzywioną; kapitan kulał do końca życia i niemógł chodzić bez pomocy laski. To kalectwo dozwoliło mu powrócić do Paryża. Zastał swą drogą Monikę bardziéj jeszcze wynędzniałą, wybladłą, z szklącemi oczyma, mówiącą tylko z roztargnieniem i jakby we śnie. Dwa uczucia tylko żywiło jeszcze jéj serce, dwie namiętności codzień gorętsze: miłość dla ojca i tęsknotę za rodzinnym stepem. Kapitan porobił natychmiast i z największym pośpiechem wszelkie przygotowania potrzebne do podróży. W poprzód wysłał jeszcze zaufaną osobę do Antwerpii, by wynajęła i urządziła dogodny dom, dopókąd nieułożą się stosunki, i kapitan niebędzie mógł kupić lub wynająć w pobliżu Moll jakę małą wioskę.

W kilka dni potém odjechał ojciec z córką powozem pocztowym. Żaden szczególny wypadek niewydarzył się w ciągu szczęśliwéj ich podróży do ojczyzny; tylko w saméj Antwerpii, w chwili gdy powóz dojeżdżał do nowego pomieszkania kapitana, Monika spojźrzała przypadkiem na ulicę i wydała krzyk tak rozdzierający, że kapitan zadrżał z przerażenia. A gdy ją zapytał o przyczynę tak nagłego wzruszenia, odpowiedziała: — „O! to nic mój ojcze.... jestem zanadto drażliwa! Ujźrzałam na ulicy młodego człowieka w nędzném ubraniu, który przechodząc wypatrzył się na mnie tak dziwnie, jak gdyby chciał przeszyć serce moje swoim wzrokiem. I dziwna rzecz, mój ojcze; młodzieniec ten tak był podobny do Jana Daelmans, że niemogłam wstrzymać się od wykrzyku; ale to niebył on.... To już przeszło; jestem spokojna.“

VIII.

Sześć tygodni upłynęło od przybycia kapitana do Antwerpii.

Na poddaszu ubogiego domku w dzielnicy Mont-d'Or, siedziała jakaś podeszła niewiasta przy krośnie do robienia koronek. Było-to wkrótce po zachodzie słońca. Pomieszkanie staruszki wyglądało bardzo nędznie, gdyż mieszkała pod gołym dachem, a cała jéj ruchomość składała się z małego stołu, dwóch krzeseł i łóżka okrytego rodzajem płachty pozszywanéj z rozmaitych kawałków. Ko-

biéta ta zdawała się nawięzywać swą koronkę z obojętnością; wszelako od czasu do czasu nadstawiała ucha ku alkowie, gdzie znajdowało się łóżko, i przysłuchywała się ciekawie jakiemuś niepojętemu szmerowi. Po chwili położyła obie ręce nieruchomie na krośnie, gdy w tém rozwarły się drzwi poddasza i weszła jakaś druga kobiéta. Staruszka położyła palec na ustach i wzrokiem nakazała milczenie nowo-przybyłéj. Potém wstała, zaprowadziła ją za rękę aż do stołu, i wskazując jéj drugie krzesło rzekła cichym głosem:

— „Cicho! cicho Tereso, on spi tak spokojnie!“ Teresa wyjęła z kieszeni pończochę i rzekła również z cicha:

— „A! to ten młodzieniec, którego wzięliście do siebie! Wiécie, matko Teerlink, że spełniliście dobry uczynek, jeźli rzecz ma się tak jak opowiadają!“

— „Tak jest, Tereso, możesz mi wierzyć: beze mnie byłby ten biedny chłopiec zginął na ulicy!“

Teresa spoglądała przez chwilę ciekawym wzrokiem po wszystkich kątach poddasza, a wreszcie rzekła:

— „Ale, jeźli się nie mylę, matko, macie tego młodzieńca już od pięciu do sześciu tygodni w waszéj izbie. Gdzież wy same spicie?“

— „Gdzie ja spię, pytasz? Oto w tym kącie, Tereso; nogi na krześle a głowa na stole. Zresztą niedbam oto wcale; mam się czém zająć, moja droga!“

— „Ba, łatwo to mówić; ale jakże możecie znosić tyle trudu? Sześć tygodni niespać pod kołdrą! Z tego samego możnaby umrzeć!“

— „Tereso, każdy daje bliźniemu to co ma; bogaci dają pieniądze, a ja..... ja także daję to co mam: moje łóżko i mój spoczynek.“

— „A — wyznaję, że niedokazałabym tego; zawsze to jednak bardzo szlachetny postępek z waszéj strony, i Bóg wam to wynagrodzi, matko... Ależ ja nieznam jeszcze końca téj historyi; jedni mówią tak, drudzy inaczéj, a ze wszystkiego niemożna się nic dowiedziéć. Jakże się to stało, matko?“

— „Opowiem ci to zaraz; ale zbliż się nieco, gdyż mógłby się przebudzić. Było-to pewnéj soboty, pięć lub sześć tygodni temu; mogła już być jedenasta godzina wieczór. Zgotowałam trochę śledziony dla mego kota, a że go niebyło w domu przez całe poobiedzie, wzięłam moją latarkę i poszłam nadół pod mur pomiędzy wozy i bryki szukać méj niepoczciwéj kotki. I gdy tak przechodzę tamtędy wołając: Minio! Minio! słyszę naraz jakby westchnienie człowieka; to przeraziło mię tak mocno; ażem zadrzała; patrzę na ziemię i — niejestem wstanie opisać ci mego przestrachu — spostrzegam człowieka, który leżał na znak cały krwią zbroczony!“

— „Mój Boże, cały we krwi!“

— „Tak jest Tereso; cały we krwi. Pomyślno, co za przygoda! Przywołałam natychmiast sąsiadów; przybiegli ze światłem i ujźrzeliśmy wtedy, że to jakiś młody człowiek, który zapewne chciał się położyć pod wozem na węgle, i upadł zemdlały. Musiał tam leżyć już dość długo, gdyż krew płynąca z zranionéj jego głowy była już prawie całkiem zakrzepła.“

— „Czy był już nieżywy, matko?“

— „O! nieżywy!.... cóż pleciesz znowu? — przecież śpi na tém łóżku!“

— „Prawda, zapomniałam o tém, matko; ale to także okropne, że człowiek i pamięć traci. No, i cóż zrobiliście potém?“

— „Co zrobili? Jak zwykle, wiele było słów a mało czynu, a tymczasem biedny chłopiec ten leżał krwią oblany na zimnych kamieniach, aż mi się serce krajało na ten widok. I rzekłam sama do siebie: „Cóż się namyślasz? przecież wszyscy ludzie są braćmi!“ — i nieczekając aż przyjdzie lekarz i każe zabrać tego nieszczęśliwego do szpitala, kazałam go podnieść i zanieść na moje łóżko....“

— „Ależ, matko, zkąd wzięliście na to, by go pielęgnować i żywić; chyba macie jaki skarb ukryty w pończosze pod dachem!“

— „O! nie, Tereso; pracowałam tylko i zrobiłam także trochę długu; ale to nic nieznaczy; co się daje z dobrego serca, to Bóg odpłaca.“

— „Zapewne, to bardzo pięknie! A czy znacie jego rodziców, czy wiécie, zkąd on jest?“

— „Nie; niepytałam go nawet o to... Ale gdy miał gorączkę, majaczył zawsze długo, i ztąd dowiedziałam się, że rodzice jego nieżyją.“

— „A niedorozumieliście się niczego więcéj z tego co mówił?“

— „Nie! opowiadał tylko coś o jakimś dębie, o stepie i o lesie jodłowym... Mawiał także po łacinie, a niekiedy wołał: Moniko! Moniko! To zapewne imię jego matki lub siostry. Umié także jakąś piosnkę, Tereso, i dałabym niewiem co za to, byś mogła ją słyszéć! Ciągle śpiewa *Rik* — *tik* — *tak*, jakby młot w kuźni, a tak skocznie, że aż chęć bierze do tańca. Ale co najpiękniejsza, mówi zawsze o tém, że chcą go zrobić księdzem mimo jego woli. Oglądałam jego głowę, czy niema na niej tonzury; ale nożyce nawet niedotknęły nigdy jego jasnych włosów....“

— „Mój Boże, to biedny chłopiec ten musiał być albo pijany albo szalony.“

— „Szalony! co pleciesz, Tereso! Gdybyś słyszała, jak mówi, upadłabyś na kolana.... Wszystko, co mówi, to tak jak gdyby było napisane i niech się schowa przed tém najlepsze kazanie naszego plebana. Przypatrz się jego sukniom wiszącym na murze: nieprawdaż że cienkie sukno, Tereso. Każdą razą, gdy otworzy usta, by mi dziękować, łzy stają mi w oczach: to wyraźnie jakby anioł przemawiał do mnie! Wierzaj mi, ja go kocham więcéj, niż gdyby był moim rodzonym synem, i gdyby zechciał pozostać ze mną, pracowałabym dla niego aż do śmierci. On nazywa mię *matką*, Tereso, i chciałabym żebyś słyszała ten wyraz z ust jego!“

— „Ale jakżeż ma się teraz? Czy przychodzi do zdrowia?“

— „Coraz więcéj; przez cały miesiąc leżał bezprzytomny w największéj gorączce; ale od ośmiu dni już mu znacznie lepiéj; powraca zwolna do sił i odzyskuje pamięć; zresztą ma zdrowe wszystkie zmysły. Gdyby mówił cokolwiek więcéj, może dowiedziałabym się

czegoś; ale on otwiéra tylko usta, aby mi dziękować, a ja niepytam go o nic. Nazywa się Jan, mówił mi to wczoraj; reszta zrobi się jakoś, jak tylko będzie nieco zdrowszy. Dziś jest jeszcze tak chudy jak szczypa, a blady jak twój kołnierzyk; piérwszy raz, gdy powstał z łóżka, był tak osłabiony, że niemógł utrzymać się na nogach i musiałam wspierać go mojemi rękoma.“

— „Biedny chłopiec!“

— „Teraz już całkiem inaczéj: chodzi bardzo dobrze, a nawet mówił wczoraj, że wyjdzie dziś wieczór, by odetchnąć cokolwiek świéżém powietrzem.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ŚWIĘTA PIELGRZYMKA

Mahometanów do Mekki drogą na Egipt.

Wieki przedtém nim Mahomet uświęcił Mekkę, uświęcała ją świątynia Kaaba, stojąc ludom szczepu arabskiego za wyraz fundamentu wiary, za oko jedności i przymierza z Bogami, do których się w potrzebie serca udawali. Mahomet krusząc bóstwa bałwochwalcze, przeszczepił do Kaaby wyznanie i wiarę w jednego Boga, a swoim uroczystym pochodem do Mekki z rzeszą wyznawców, założył obyczaj świętéj pielgrzymki, w któréj prawy Muzułman upatruje dopełnienie wyznania wiary swéj i drogę zbawienia. Obyczaj trwa dotąd, i kogo stać tylko nikt się z niéj nie wyłącza. Co roku jeszcze zwiedza Kaabę tysiące pielgrzymów. Monarchowie wyprawiają w zastępstwie siebie wysokich dygnitarzy; nawet wyższych stanów kobiéty biorą udział w podróży świętéj.

Ale pielgrzymka która teraz co roku jeszcze odbywa się z Konstantynopola, straciła w nowszych czasach bardzo wiele z swéj pierwotnéj właściwości; paropływy morza śródziemnego przewożą teraz większą część podróżnych bez żadnéj okazałości. Dawniéj nierównie uroczyściéj odbywano tę podróż lądem. Zresztą i ceremonie odjazdu z Konstantynopola są już prawie odcieniem tylko dawnych zwyczajów świętych. Ale kto chce widziéć te ceremonie w całéj świetności i w ogóle powziąć dokładne wyobrażenie o téj pobożnéj pielgrzymce, niechaj przypatrzy się jéj w Kairze i towarzyszy pielgrzymom z tego miasta.

W Kairze zachowała ta uroczystość do dziśdnia dawny swój charakter, i karawana pielgrzymuje jak dawnemi czasy odwieczną drogą przez puszczę. Pielgrzymi odjeżdżają zwykle 27 dnia miesiąca Cheval (około nowego roku u nas), i karawana zbiera się w tym zamiarze na równinie Haszui w północnéj stronie miasta. Tu, w przytomności Baszy, jego dworu i pełnomocnika Kadego, liczą pieniądze przeznaczone na podróż i zamykają w skrzynię pod odpowiedzialnością Emira Ul Nadź. Potém wkładają do kosztownego kufra tak zwane Kisswe-yszeriffe, świętą odzież, i wielką zasłonę do okrycia Kaaby, którą wyrabiają w Kairze. Egipt bowiem posiada to w oczach Islamitów arcyważne prawo, dostarczać co roku téj zasłony. Jest-to tkanka z czarnego jedwabiu ze złotemi głaskami. Karawana bierze z sobą także dwie świece woskowe do świątyni w Medynie, z których każda waży pięćset funtów. Ustawiają się po obu stronach grobowca Proroka. Ich wyrabianie i transport kosztują przeszło pięćtysięcy talarów. Kosztowne dywany dla meczetu, olejki z róż i jazminu, i różne inne rzeczy, jako to: broń, chorągwie i wszelkiego rodzaju materye, które tkają niewiasty na całuny grobowe i kropią święconą wodą z kry-

nicy Zem-Zem, stanowią resztę ładunku kilku wielbłądów.

Obszedłszy dwa lub trzy razy uroczystym pochodem plac El-Hassan albo Roumeyleh, udaje się procesya przez miasto, by bramą zwycięztwa 'Bab-el-Toutouch wyruszyć w świętą pielgrzymkę. Natłok w ulicach, u okien, na dachach, w altanach i minaretach, jest wtedy niedoopisania. Cała ludność uniesiona zapałem religijnym wznosi huczne okrzyki radości, zasyła do nieba westchnienia i modły o pomyślność pielgrzymów, rzuca im kwiaty i pachnidła i naraża się prawie na uduszenie, by widzieć lepiéj świętą karawanę i odprowadzać ją jak najdaléj. Wspaniały to widok zaprawdę i warto przytoczyć tu niektóre szczegóły o nim, równie jak i o świetnych festynach, jakie za powrotem karawany wyprawiają na cześć urodzin Proroka.

Gdy się skończy ów pochód przez miasto, udaje się karawana do Birket-el-Hadżi, jeziora pielgrzymów i ostatniéj ich stacyi przed stanowczym odjazdem. Tu dzielą się podróżni na trzy grupy; jedna udaje się drogą lądową przez puszczę, podróżuje najwięcéj nocą, a spoczywa podczas skwaru dziennego; inni zaś, którzy lękają się niebezpieczeństw puszczy, udają się do Suez lub Kosseyru i płyną okrętem aż do Dżeddy w Arabii. Karawana ciągnąca puszczą znajduje po siedmiudniowéj podróży z Kairu w zamkach Nekel i Agerond, w okolicy Arlemu, załogi wojskowe, które ją ochraniają, i krynice, z których zaczerpuje świeżéj wody. W trzeciéj części drogi przyjmuje pielgrzymów inna twierdza, El-Monegla. Od czasu wojen Mehmeda Alego przeciw Wechabitom i innym szczepom puszczy, niedoznają już karawany prawie żadnych przeszkód.

Szerif Mekki, dygnitarz największego znaczenia u Muhamedanów, przyjmuje pielgrzymów na czele swéj armii, czuwającéj nad utrzymaniem porządku; zwykle przybywa karawana do Mekki po czterdziestudniowéj podróży, na początku miesiąca Zil-Hedże.

Mekka niemiała nigdy sławy wielkiego miasta. Domy budowane z białych i czarnych kamieni i osłonięte altanami. Jak jezioro położona w głębokiéj kotlinie między górami, wystawiona jest na częste powodzie z ulewy, które już kilkakrotnie ją niszczyły dosięgając nawet świątyni. Sułtan Mahomet IV kazał pobudować wielkie tamy i kanały, by ochronić miasto od podobnego nieszczęścia. Chcąc się dostać do przybytku świętości nietrudno w pierwszych dniach otworzenia jego postradać życie, tak gwałtowny jest natłok prawowiernych. Każdą razą przychodzi do krwawéj walki między tymi, którzy chcą dostać się najpierwéj; kto dość zwinny i lekki, przeskakuje nieraz z tylnych szeregów po głowach ściśniętego tłumu, i dostaje się tym sposobem najłatwiej do drzwi wchodowych.

Święta Kaaba leży w pośrodku miasta, wysokość jéj wynosi czterdzieści stóp, a mury grube na trzy stopy. Dom ten zbudowany w czworobok, zamyka w sobie *czarny kamień*, Hadżer-ul-Esswed, który uważają za zakład przymierza między Bogiem i człowiekiem w osobie Adama. Widać tam także obadwa święte słupy i kanał czyli rynnę miłosierdzia, z szczérego złota, umieszczoną prawie w pośrodku dachu; pod tém znajduje się okrągły, z raju pochodzący zielony kamień, który zwilżać musi uzbierana w złotéj rynnie woda niebiańska. Kamień ten zwie się także kamieniem Ismaela. Przestrzeń między drzwiami i tym kamieniem jest-to owe święte Multezem, gdzie Arab w czasach pogańskich wzywał sprawiedliwości boskiéj, która, jak mniemano, zaraz potém wymierzała swoją karę; a nawet i dziś jeszcze sądzą, że odmówiona tu modlitwa dostaje się prędzéj niż zkądinąd do nieba. Dwie duże złote, drogiemi kamieniami osadzone lampy, podarunek Murata III, i grube, okrągłe obręcze ze złota i srebra, któremi Achmet I kazał oprawić świątynię wewnątrz i zewnątrz, zdobią ten gmach święty, a drzwi jego obijane złotą blachą. Podług podania przemieszkuje tu duch proroka.

Czworoboczny dom ten znajduje się w pośrodku dziedzińca meczetu, którego długość wynosi sześćset, a szerokość czterysta pięćdziesiąt stóp. Dokoła ciągnie się galerya oparta na dwiestuczterdziestu kolumnach z marmuru i bronzu, a nad nią wznosi się dziewięćdziesiąt dwie małych kopułek ołowianych. Meczet tamtejszy, i tylko ten jeden pomiędzy wszystkiemi, ma siedm minaretów, a drzwi liczy dziewiętnaście. W roku Hedżyry 979 zniszczyła go okropna powódź, i Sułtan Selim II kazał go jak najwspanialéj odbudować. Inni Sułtani upiększyli go i wzbogacili swemi darami. Khany (austerye), kąpiele, krynice, słowem wszelkiego rodzaju pobożne fundacye znajdują się przy świątyni dla wygody uboższych i cierpiących pielgrzymów.

Podczas obecności pielgrzymiéj, karawany palą dzień i noc bursztyn i aloe w meczecie, i olejek różanny płynie zdrojami zwilżając mury i przedsień świątyni.

Delile czyli strażnicy świątyni sprzedają pielgrzymom wszelkiego rodzaju relikwie i amulety. Najbardziéj poszukiwane są okrawki świętéj zasłony, którą sprzedają tak drogo jak złoto, gdy zostanie zdjęta a nowa ją zastąpi. W roku tak zwanéj wielkiéj pielgrzymki, Hadih-ul-Ekber, która następnje co siedm lat, należy zasłona ta do Sułtana, który z wielką uroczystością odbiéra ją w Seraju. Na pogrzebach książąt cesarskich używano jéj do przykrywania trumny, a czasami nawet na całun grobowy. Z pielgrzymki téj przynoszą z sobą Mahometanie także kamienie i ziemię z różnych tradycyą uświęconych stacyi. Tu znajduje się grób Ismaela; tam zstąpił z nieba Anioł Gabryel; ówdzie nakoniec jest sławna krynica Zem-Zem, któréj woda posiada wszelkie cudowne własności i sprzedawana bywa w małych flaszeczkach. Zródło to miał Anioł Gabryel otworzyć dla spragnionéj Hagary dotknąwszy ziemi swojém skrzydłem. Pomiędzy talizmanami świętemi musimy wymienić jeszcze różańce z kamieni góry Arafy, góry zmiłowania, oddalonéj o sześć mil od Mekki. Na tém miejscu, powiadają, odbyła się ofiara Abrahama. Pielgrzymka jest dopiéro wtedy zupełna, gdy pielgrzymi wejdą aż na szczyt téj góry, by w nocy z 9 na 10 miesiąca Zildidżeh odprawić tam modły publiczne i cisnąć siedm kamieni przeciw złemu duchowi, który przeto u Arabów zwie się zawsze Ukamienowanym. Na drugi dzień udają się pielgrzymi na równinę Mourra, gdzie odprawiają przepisane obrządki i ofiary z kóz, owiec i innych zwierząt, których liczba dochodzi nieraz czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy.

(Dokończenie nastąpi.)

Dziewczyna wracająca z Sobótki.

(Ob. Nr. 5. Rozmaitości.)

Wiéj wietrzyku, szum dąbrowo,
Świeć księżycu, świeć nad głową
Bladém, drżącém światłem twojém:
Bo mi czoło żarem płonie,
Bo mi serce bije w łonie
Dziwnym jakimś niepokojem.

Gdy pod starem dębu drzewem,
Czarodziejskich strun swych śpiewem,
Wieszcz zanucił pieśń przeszłości:
Jam podniosła wzrok do góry.
A tu — w szacie białéj chmury,
W tajemniczéj zorz światłości

Zbiegła ku mnie postać biała:
Śnieżną lilią w ręku miała
I zielony liść palmowy.
Niby smutno, niby dumnie,
Skłoniła się z niebios ku mnie,
I dotknęła mojéj głowy.

Odtąd czoło żarem płonie,
Odtąd serce bije w łonie
Dziwnym jakimś niepokojem.

Wiéj wietrzyku! szum dąbrowo!
Świeć księżycu, świeć nad głową,
Bladém, drżącém światłem twojém!...

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*